

Adam Podkova

Ciemna strona oświeconych

© 2025 Adam Podkowa

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą autora.

Wydanie drugie - poprawione

Tytuł oryginału: „Ciemna strona oświecenia”

ISBN: 978-83-974155-2-2

Projekt okładki: Microsoft Designer & Canva

Rozdział 1 – Ostatnie namaszczenie

Rok 2000 – w jednym z wrocławskich szpitali na oddziale onkologicznym...

To była bardzo duża maszyna o nieznanym mu przeznaczeniu. Stojąc tuż przy niej, słyszał jej złowrogi stukot, który zdawał się być z dnia na dzień coraz głośniejszy i coraz bardziej przerażający. Nie wolno mu było o tym myśleć. Każda próba skupienia uwagi na czymkolwiek powodowała gwałtowne nasilenie dudnienia.

W czasie krótkich przebłyków świadomości wydawało mu się, że to jakiś nadzwyczaj silny środek znieczulający nie mógł sobie do końca poradzić z jego bólem, spowodowanym chorobą. Sama chyba psychika znalazła sposób, żeby oszczędzić mu cierpień, tworząc takie dziwaczne wyobrażenie.

Czasami budził się na moment. Widział wówczas zatroskaną twarz jakiejś kobiety i jej zmęczone, czerwone od płaczu oczy. Najczęściej ten widok był nic nie znaczącym obrazem, bo strach przed konsekwencjami najmniejszego nawet wysiłku umysłowego zdawał się być zbyt wielki, by zaryzykować jego podjęcie, ale czasem, na krótki moment, z bólem docierało do niego, że to mama.

Nie pamiętał, dlaczego ona tu jest, ale czuł, że to wszystko już nie potrwa długo. Maszyna była coraz bardziej złowroga i coraz potężniej dudniła. Bał się jej, ale to było lepsze rozwiązanie niż poprzednio, gdy to wszystko pulsowało wewnątrz, w jego głowie.

Czuł, że w końcu nadejdzie ten moment, gdy ciśnienie nieustannie wzrastające wewnątrz maszyny rozerwie ją na strzępy. Wtedy prawdopodobnie okaże się, że nigdy jej tak naprawdę nie było.

Że to jednak była po prostu jego głowa.

Nie bał się śmierci. W porównaniu z tą wegetacją, w dodatku bez prawa do jakiegokolwiek wysiłku umysłowego, nawet nicłość byłaby dla niego lepszym rozwiązaniem.

„Ciekawe, jak to będzie, kiedy to w końcu ucichnie?” – zastanowił się przez moment.

Mechanizm zadudnił tak potężnie, jakby rzeczywiście miał się za chwilę rozpaść, a chłopak zastygł w obawie, że tym razem na zbyt wiele sobie pozwolił.

Czy był tu ktoś oprócz niego? Przez moment wydawało mu się, że czuje czyjąś obecność. Otworzył oczy, ale bał się rozejrzeć po pokoju. Sam ruch gałek ocznych nie wywoływał już takiego bólu, jak kiedyś, ale nadal towarzyszyło temu bardzo nieprzyjemne uczucie.

Usiłował sobie przypomnieć, co to za twardy przedmiot tkwi w jego prawej ręce. Czuł go, wiedział, że to coś ważnego, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to mogłoby być.

– Jestem syneczku, jestem – mówiła spokojnym głosem kobieta siedząca przy jego łóżku.

Nie miał pojęcia, jakie to ma znaczenie i kim ona w ogóle jest. Kobieta założyła mu coś na szyję. Wydawało mu się, że to może być jakiś łańcuszek. Na ustach poczuł przyjemną wilgoć. To była woda.

Maszyna znowu mocniej zadudniła, ponownie zazdrośnie przykuwając do siebie sto procent jego uwagi. Tym razem jednak czuł już na pewno, że nie jest sam, że oprócz maszyny i niego jest tam ktoś jeszcze. Nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia, ale czuł się dziwnie bezpiecznie. Może w końcu, po raz pierwszy od dłuższego czasu, będzie mógł z kimś porozmawiać. Bardzo mu tego brakowało.

– Stój spokojnie, muszę cię ustawić – usłyszał spokojny, lecz niezwykle stanowczy głos.

– To już? – spytał, chcąc się odwrócić w stronę nieznanego.

W tym też momencie poczuł lekkie uderzenie. To było coś, jakby balon z ciepłą wodą pękł i jego zawartość rozlała się wewnątrz jego ciała. Nie było to nieprzyjemne, choć z drugiej strony trochę go przerażało. Wraz z rozlewaniem się tego ciepła, powoli oddalał się złowrogi stukot maszyny.

Wizja rozmyła się. Znowu widział salę szpitalną. Nowoczesne, podłużne świetlówki dawały ostre, białe światło, potęgowane dodatkowo przez srebrne, odbłaskowe oprawy, w których świetlówki były osadzone.

Musiał być od bardzo dawna nieprzytomny, bo czuł się, jakby nagle z całkowitej ciemności wyszedł na śnieg, w czasie słonecznej, zimowej pogody.

Pierwsze skojarzenie, jakie przyszło mu na myśl, to wspomnienie niewielkiej górki obok bloku, z której zjeżdżał na nartach jako siedmiolatek. Jakie wtedy wszystko wydawało się piękne i świeże...

Znowu poczuł w ręku twardy przedmiot. Tym razem bez trudu przypomniał sobie, co to jest. To był odtwarzacz MP3. Poczuł ten sam niepokój jak wówczas, gdy mama przyniosła mu do szpitala to coś, na co po prostu nie było jej stać.

– Czy ja umrę? – spytał wtedy drżącym głosem.

Teraz stał z mamą nad strumykiem. Miał może dwa i pół roku. Przypatrywał się płynącemu strumykowi i usiłował wejść do wody, ale mama mocno przytrzymała go za rękę. Poczuł złość, bo nie sięgał nogą tafli płynącej wody. Rozpłakał się. Mama przeszkadza, nie mógł tam wejść, a tam było fajnie...

– Stój spokojnie – usłyszał ponownie głos nieznanego.

Świadomość momentalnie wróciła. Stał w jakimś białym korytarzu, na którego końcu świeciło ciepłe, przyjacielskie światło.

– Co? – spytał chłopak – Już nadszedł ten czas?

– Stój spokojnie i nawet nie patrz w tamtą stronę – powiedział nieznanomy. – Ciągłe odtwarzasz niewłaściwą matrycę.

Znowu nastąpiło lekkie uderzenie, lecz tym razem zamiast ciepła rozlewającego się po ciele, poczuł trzy ostre wyładowania elektryczne w okolicy czubka głowy. A po chwili pojawiło się uczucie ostrego palenia w klatce piersiowej.

– Za gorące! – krzyknął przestraszony.

Temperatura bardzo szybko rosła. Za chwilę ciepło w klatce piersiowej straciło całkowicie znaczenie. Nie zdążył się nawet przestraszyć, gdy wrząca lava wlała mu się przez głowę i momentalnie sparaliżowała całe ciało. Nie był już w stanie nawet krzyknąć.

Znowu coś błysnęło. Jakby jakieś krótkie spięcia...

Przy jego łóżku siedział Grzesiek – kolega z sali szpitalnej. Zobaczył go tylko przez moment, jak chłopak wycierał mu rozpalone gorączką czoło.

Czas biegł gdzieś obok i w sobie tylko znanym porządku. Jarek nie wiedział, czy to, co widział przed chwilą, było przed minutą, przed tygodniem, czy może od tej chwili zdążył minąć miesiąc.

Miał teraz nie więcej jak trzy latka, a radość wprost go roznosiła. Nie mógł wyjść ze swojego łóżeczka, bo przeszkadzała mu drewniana barierełka. Mama dała pistolet na strzałki. Jak się tam naciskało, to strzałka leciała do przodu i czasem przyklejała się do

szyby w drzwiach pokoju. Dała pistolet, ale coraz mniej chętnie podnosiła wystrzelone strzałki i ładowała pistolet. Twierdziła, że jest już późno i że wszystkie dzieci już śpią. Ale jak on może iść spać, kiedy to taka fajna zabawa?

– Mówiłem, Kaśka, dać mu rano, nie na wieczór – powiedział wujek.

Nie lubił wujka. Wujek mówił źle, a mama zajęła się rozmową z nim i nie podawała już strzałek.

– Może bym i sobie ułożyła życie jakoś inaczej, ale cóż? – pytała wskazując na niego. – Nie wszystko da się przecież cofnąć.

Gwałtownie wróciła świadomość.

– Po co to wszystko? – spytał Jarek, nie mogąc zrozumieć, dlaczego przypomina sobie takie fragmenty ze swojego życia.

Przez wszystkie mięśnie przeszedł mu nieprzyjemny dreszcz. To przypominało chwilowe podłączenie pod wysokie napięcie...

Na środku czoła poczuł przyjemny chłód. To było bardzo dziwne, bo patrzył na to wszystko, wisząc gdzieś w powietrzu przy oknie pokoju. Przy łóżku stał ksiądz i mówił coś melodyjnym głosem, jakby... wiersz... a na krześle siedziała mama, trzymając go za rękę, ale on tego nie czuł.

Przyjrzał się dokładnie chłopcu, który leżał na szpitalnym łóżku, jakby to był ktoś inny. Krótkie włosy, które jeszcze nie zdążyły odrosnąć po nieudanej chemioterapii, strasznie blada cera. Nigdy przedtem nie oglądał się w tak strasznym stanie. Przez myśl przeszło mu, że nie ma już po prostu sensu tam wracać.

Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Tak samo jak wtedy, gdy to się rzeczywiście działo kilkanaście lat temu. Siedział na środku pokoju i bawił się czerwonym samochodzikiem.

– Durna ta Kaśka, że aż ludzkie pojęcie przechodzi – mówiła zatroskana ciotka, oparta o kredens kuchenny.

– No co zrobisz, Stefka – mamrotał wujek. – Załamata się i tyle.

– Ona ma dziecko! – wrzała ciotka. – O nim powinna pomyśleć? Co z nim będzie, jak jej zabraknie?

Wujek coś syknął, wskazując na niego, ale ciotka tylko machnęła ręką i stwierdziła, że jest jeszcze za mały i nic nie rozumie i że jej taki „bachor” nie potrzebny do pilnowania go „w zastępstwie”.

Śniło mu się tej nocy, że mama gotowała się w garnku pod mostem, w rzece, przepływającej obok parku w ich mieście. Bał się tego, bo jakaś czarna chmura zasłaniała słońce. Było szaro i ponuro...

Poczuł przed sobą jakiś trzask, jakby klaśnięcie...

– Stój spokojnie i nie odwracaj się. Teraz oczyszczę twoją matrycę. Cokolwiek złego zrobiłeś sobie lub innym, zostanie z niej wymazane – powiedział znowu głos zza jego pleców.

Znów stał w białym korytarzu. „Jeśli to jest śmierć, to jest to o wiele przyjemniejsze, niż się spodziewałem” – pomyślał.

Czuł, że za chwile stanie się coś wspaniałego. Coś, czego można doświadczyć tylko po tej drugiej stronie.

Czy to rzeczywiście tak proste? Czy On wybacza wszystko i wszystkim? Czuł ogarniającą go ekscytację. Chciał coś powiedzieć, ale uczucie narastającego, wszechogarniającego ciepła przepętniało go, nie pozwalając zebrać myśli. Pod sobą dostrzegł wielką, głęboką przepaść z urzekającym, niebieskim światłem.

Wiedział, co ma zrobić i nie zastanawiał się ani przez chwilę.

Stało się. Skoczył. Przechodzi na drugą stronę, by odbyć najbardziej fascynującą podróż, z której się już nie wraca.

Nagle poczuł mocne uderzenie w plecy i ogromna siła brutalnie wyhamowała jego ruch w stronę niebieskiego światła.

Chwilę później stał z powrotem na krawędzi tej niezwykle przepaści, która oddalała się powoli, by po chwili całkowicie zniknąć z jego oczu.

– Twój czas jeszcze nie nadszedł! – usłyszał głos zza swoich pleców.

I nagle wszystko dookoła niego stało się nieskazitelnie białe. Zapanował spokój. Spokój dziwny, jakby naelektryzowany. Wszystko, co nie było spokojem, zostało w tej jednej chwili całkowicie wymazane.

Czuł się trochę tak, jakby był w pobliżu jakiegoś potężnego generatora wytwarzającego energię z jednej strony bardzo subtelną i delikatną, a z drugiej tak potężną, że zdolną dosłownie miądzzyć skały. I ta niezwykła energia zdawała się pomału go przenikać i wypełniać.

– Jesteś... Bogiem? – spytał nieśmiało.

Nie był pewny, czy rzeczywiście stoi jeszcze na ziemi, czy wisi już w powietrzu, czy wolno mu się odwrócić i spojrzeć...

– Nie używaj wielkich słów – odezwał się głos. –Twoja przeszłość została rozliczona i nie wpłynie już nigdy więcej na kreację twojego zdrowia. Jesteś wolny.

Chłopak w tym samym momencie poczuł całkowite rozluźnienie. To było tak gwałtowne, jakby ktoś nagle usunął z jego szyi sznur, z którym nieświadomie żył przez większość swego życia. Zrozumiał,

że nie ma żadnych zobowiązań, nic nikomu nie jest winny, cokolwiek w ciągu życia zrobił złego, zostało jednym aktem woli Boga skasowane, jakby nigdy wcześniej nie istniało, lub jakby nie miało na tym poziomie kompletnie żadnego znaczenia.

Nic naprawdę złego w ciągu swojego krótkiego, zaledwie siedemnastoletniego życia nie zrobił, ale teraz nagle zrozumiał, że Bóg by mu tak samo wprost i bez żadnych warunków wybaczył, gdyby przyszedł jako największy zbrodniarz.

To było szokująco wspańiałe, że nie można Go w żaden sposób obrazić, że nie ma możliwości, aby czymkolwiek sobie zasłużyć na jego gniew.

Znowu poczuł coś jakby skok napięcia. Jakby ktoś niepostrzeżenie od dłuższego czasu stopniowo podkręcał potencjometr, próbując przyzwycząić go do coraz większego napięcia.

– Mam z tobą duży problem, Jarku – powiedział głos zza jego pleców. – Łatwo cię zapalić, ale zaraz potem zaczynasz odtwarzać tą samą uszkodzoną matrycę, która tworzy nowotwór. Od kilkunastu dni podsuwam ci obrazy z twojej przeszłości, żebyś zrozumiał, że nie jesteś winny niczemu, o co obwiniął cię umysł kilkulatka, ale ty ciągle obserwujesz to z tamtej wypaczonej perspektywy.

– Byłem błędem moich rodziców – odparł pogodnie chłopak, czując w sercu całkowitą beztroskę.

– Od kilku godzin powinieneś być martwy – usłyszał. – Co byś tym naprawił?

Rozluźnienie nie sprzyjało jakimkolwiek refleksjom. Nie był w nastroju do filozoficznych rozważań.

Nie był też w stanie tego ukryć.

– Jedynie nadmiar energii odbiera ci moc autodestrukcji – zauważył głos. – Więc dostaniesz jej taką ilość, która sparaliżuje twoją zdolność do odtwarzania czegokolwiek.

– ...czegokolwiek – powtórzył Jarek bezwiednie, czując jednocześnie całkowity relaks.

– A teraz oddychaj głęboko... Bardzo głęboko.

Chłopak nabrał w płuca powietrze i powoli je wypuścił.

– Dalej! – zachęcał głos spokojnie i stanowczo.

Jeszcze kilka razy chłopak powtórzył tę operację. To było bardzo odświeżające i przyjemne, ale zaczęło ogarniać go przeczucie, jakby to miało jakieś inne, ukryte znaczenie. Poczuł narastający niepokój związany z bardzo dziwnym odczuciem, że wdychane powietrze jest jak elektrolit. Jakby to było tylko kumulowanie napięcia, które potem... co? Chciał się odwrócić i spytać wprost, co się dzieje.

Nie zdążył. Ekstremalnie wysokie napięcie uderzyło w niego z taką mocą, że momentalnie stracił orientację, gdzie jest i co się z nim dzieje. Nie wiedział, czy leci z prędkością światła, czy leży na ziemi, a przez jego ciało przepływa prąd elektryczny o niewyobrażalnym natężeniu.

Zaczął krzyczeć, ile sił w płucach, a im mocniej krzyczał, tym mocniej ta nieznama energia paraliżowała mu wszystkie mięśnie. Jak przez zepsutą taśmę filmową widział oślepiające błyski białego światła na przemian z zarysami postaci w białych ubraniach, które wyglądały niczym jacyś strażnicy, próbujący go obezwładnić.

– Spokojnie! – usłyszał zdenerwowany głos, który chyba należał do kogoś, kto... kiedyś go leczył.

Wizja urwała się. Wszystko się rozmyło. Było białe. Biel powoli ciemniała, potem przechodziła w szarość i cykl się powtarzał. Złowrogo dudniącej maszyny już nie było, nie było też nikogo, kto mógłby wytłumaczyć mu, co się właściwie stało.

Czy rzeczywiście umarł? Odnosił wrażenie, że leży na wpół przebudzony, że może swobodnie poruszyć palcami rąk i nóg... ale przeraźliwie się tego bał. Bał się, że to się uda, a to przecież już od dawna niemożliwe. Nie w jego stanie.

A jeśli to czyściec, to jak tu jest? Będzie tak leżał? To byłoby bez sensu. Czy ma tu coś zrozumieć? Może coś zrobić? Ale co? Przecież Bóg jednym prostym aktem woli unieważnił wszystkie jego grzechy.

Z ogromną niepewnością spróbował poruszyć palcem ręki. Poczł plastik... jakby jakiś większy naparstek. Trochę cisnął, ale nie był niczym przywiązany. Bez trudu zsunął go z palca.

W tym momencie do jego uszu dotarł przeszywający pisk. Słyszał go już kiedyś na filmie. Ten dźwięk w szpitalu sygnalizował, że ktoś umarł. Otworzył szeroko oczy i przerażony usiadł na łóżku. Od razu zakręciło mu się w głowie od zbyt raptownie zmienionej pozycji ciała.

Matka na ten widok poderwała się ze swojego krzesła w takim popłochu, że zmiotła biodrem wszystko, co znajdowało się na przyłóżkowej szafce szpitalnej. Odgłos tłuczonego szkła zmieszał się z piskiem aparatury monitorującej jego funkcje życiowe, dodatkowo potęgując zamieszanie.

W drzwiach pokoju niemal natychmiast stanęła pielęgniarka.

– Co się stało? – spytał jej przestraszony chłopak.

– Doktorze! – krzyknęła kobieta przerażona, wpatrując się w niego, jakby zobaczyła ducha.

Rozdział 2 – Siła telewizji

– Ta czarna, wysoka, co była wczoraj po południu... – mówił Grzegorz. – Ta to jest wredna. Ona by nas najchętniej wszystkich wyrzuciła i sama siedziała na oddziale.

Jarek parsknął śmiechem.

– Praca byłaby fajna – powiedział, usiłując naśladować głos pielęgniarki. – Tylko żeby tych pacjentów w ogóle nie było.

Leżeli tak całe popołudnie i wpatrywali się w sufit. Mijał kolejny, szpitalny dzień. W godzinach przedpołudniowych jeszcze się czasami coś działo, ale popołudnia i wieczory były zawsze takie same. Od czasu do czasu chłopcy wymieniali między sobą kilka zdań na luźne tematy, ale w sumie dzieliła ich zbyt duża różnica wieku, by mogli znaleźć wspólny język.

Grzesiek był wesołym jedenastolatkiem, przepadającym za grami komputerowymi, których Jarek z kolei nienawidził. Nieraz do Grzeška wpadał kolega z sąsiedniej sali i chłopcy potrafili przez kilka godzin opowiadać sobie nawzajem na temat trików i fortelów pomagających przechodzić kolejne etapy jakiejś gierki internetowej, podczas gdy Jarek obserwował świetlówkę i zastanawiał się, dlaczego większość jego rówieśników uważa, że to dziewczyny mają monopol na trajkotanie.

– Dzisiaj wieczorem jest fajny film – przypomniał sobie Grzegorz.
– Nie pamiętam tylko tytułu. Już od soboty zapowiadali i wiedziałem, że warto obejrzeć, ale zupełnie mi tytuł wyleciał.

– A z kim?

– Z takim... blondasem.

Jarek kiwnął głową na znak, że przyjął do wiadomości, że wieczorem będzie bliżej nieokreślony film z głównym aktorem blondynem.

Zaraz po lekarskim obchodzie, do sali weszła mama. Teraz już przychodziła do szpitala albo do południa, albo pod wieczór, w zależności od tego, na którą zmianę akurat pracowała jej kuzynka, u której zatrzymała się na czas pobytu we Wrocławiu. Nie było już potrzeby siedzieć przy jego łóżku dzień i noc, więc dała sobie w końcu wytłumaczyć, że warto i z kuzynką spędzić trochę czasu.

– Jak się spało? – spytała kobieta wesoło.

Grzegorz kiwnął głową na znak, że dobrze, Jarek tylko westchnął i machnął ręką.

– Mamo, pogadaj z profesorem, przecież to nie ma sensu – poprosił.

– Jareczku, profesor wie lepiej, co robić – upomniała go.

– Jak cię nowotwór nie wykończył, będą chcieli cię zanudzić na śmierć, bo statystyki zepsułeś – ostrzegł Grzegorz.

Jarek parsknął śmiechem.

– Wczoraj mówili o tobie w wiadomościach – powiedziała podekscytowana mama. – Pokazywali profesora, dyrektora, mówili o księdzu Bronisławie...

Sięgnęła do torby po siatkę mandarynek, by umieścić je w przyłóżkowej szafce. Jarek tylko westchnął. Tłumaczenie, że nie jest w stanie pożerać takich ilości owoców dziennie, było po prostu bezcelowe. Ta część matczynej świadomości była zablokowana na wszelkie argumenty.

– Ale dzisiaj mam dla ciebie coś jeszcze – powiedziała kobieta z triumfującą miną.

– Co masz?

Matka poprzewracała wszystkie zakamarki swojej torebki, by w końcu z dumą wręczyć synowi fotografię. Chłopak przyjrzał się zdjęciu uważnie. To był widok z okna jego pokoju – fragment parkingu, kawałek uliczki dojazdowej, trzepak i oczywiście, w centralnym miejscu, wielki przepiętny śmietnik, który wyróżniał się do tego stopnia, że wydawał się być podmiotem całej fotografii.

– No... – wydusił z trudem.

Z mieszanymi uczuciami przyglądał się odbitce. Ujęcie nie należało do najbardziej udanych.

– ...z mojego pokoju... – dodał dyplomatycznie.

Na zdjęciu tuż przy śmietniku zauważył podwórkowego kundla, który z charakterystycznie uniesioną nogą, załatwiał potrzebę fizjologiczną.

– Fajnie – skwitował.

Mama wyjęła mu zdjęcie z ręki, odsunęła szklankę z sokiem, stojącą na szafce i oparła odbitkę o pudełko z landrynkami. Teraz śmietnik patrzył wprost na niego z przyłóżkowej, szpitalnej szafki.

– Tak – wydusił Jarek i uśmiechnął się, by zademonstrować, jak bardzo się cieszy. – Ale co chcesz dać mi do zrozumienia... że jednak nieprędko wrócę do domu?

Kobieta zawiesiła na oparciu drewnianego krzesła swoją torebkę i wstała.

– Spytam – powiedziała wzruszając ramionami – ale nie będę naciskać, bo profesor wie lepiej, co dla ciebie jest najlepsze.

Jarek opadł ciężko na swoje łóżko i beznamiętnie spojrzął na sufit. Ogarnął go śmiech.

Wszyscy lekarze zachowywali się tak, jakby byli oburzeni tą niezrozumiałą anomalią medyczną, związaną z jego nagłym wyzdrowieniem. Miał wrażenie, że nie tylko nie wiedzą, jak to sobie wytłumaczyć, ale i nie potrafią dopuścić do siebie myśli, że to uzdrowienie ma charakter trwały.

Cały pierwszy dzień, po jego nagłym ozdrowieniu, matka przesiadła przy nim z nieustająco wilgotnymi oczami, bo jej przetłumaczyli, że to nagłe nabranie sił, to tylko – znany medycynie – ostatni odruch konającego, który w ten sposób żegna się z rodziną.

„Odruch” znany medycynie, przeciągnął się o dzień następny a potem o kolejny następny.

Medycy wytrzeszczali oczy z niedowierzaniem, a nieśmiała kobieta spoglądała na nich z coraz większymi znakami zapytania w oczach. Oczywiście nie posuwała się do składania reklamacji.

Czekali i obserwowali, kiedy żegnający się pacjent w końcu odejdzie, nadal licząc na to, że nie zrobi tego na własnych nogach.

Chociaż z dnia na dzień ten ostatni wariant zdawał się być najmocniej wysuwający się na czoło potencjalnych rozwiązań końcowych.

W końcu sytuacja zaczęła ewidentnie dojrzewać do końcowej konkluzji. To już trwało za długo a wszelkie możliwe badania wykazywały kuriozalne wskazania, że łóżko szpitalne zajmuje osoba całkowicie zdrowa.

Skoro nagle i niespodziewanie stał się taką sensacją w kręgu medycznym, to wypisanie do domu stanowić przecież powinno tylko naturalną konsekwencję udanego leczenia.

On sam czuł się całkowicie zdrowy. Nadal też czuł tę potężną, wibrującą energię wokół siebie.

Gdy profesor Budzyński, w czasie porannego obchodu spytał go o samopoczucie, bez wahania wyznał, że czuje się jak bolid Formuły Pierwszej, jadący powoli wzdłuż osiedlowej drogi. Mężczyzna uśmiechnął się wyrozumiale, nawet nie przypuszczając, że nie ma w tym stwierdzeniu ani grama przesady.

Kilka minut po wyjściu mamy, do sali wpadł sam profesor. To było trochę niespodziewane, bo zwykle pojawiał się tylko w trakcie porannego obchodu.

– I jeszcze te hieny dzisiaj potrzebne. Jak dziura w moście – warknął, rozglądając się po pomieszczeniu.

Nie bardzo było wiadomo, gdzie pocziwy profesor dostrzegł hieny, więc chłopcy popatrzyli po sobie nieśmiało, nie wiedząc, czy powinni coś odpowiedzieć, czy także rozejrzeć się po pokoju.

– Jarosław Targosz... – huknął doktor, obdarzając Jarka urzędowym spojrzeniem. – Będziesz miał dzisiaj nietypowych gości.

Za plecami doktora pojawiła się salowa, więc mężczyzna zwrócił się bezpośrednio do niej:

– Proszę tu na szafkach trochę im pouprzątać – nakazał. – Książka, coś do picia... Niech nie leży tu wszystko, co pacjent posiada.

– Ja jeste od podłogi – zaprotestowała salowa. – Pacjent sam obok siebie niech robi, jak jest na chodzie!

Profesor spojrzął na kobietę, jak na przybysza z kosmosu, machnął ręką i bez słowa wyszedł z sali, pokazując w języku migowym wyobrazony ruch szmatki na dowolnej, płaskiej powierzchni.

– Jakich gości? – wymamrotał Jarek, spoglądając nic nie rozumiejącym wzrokiem na kolegę.

Już po następnych kilku minutach wyjaśniło się, czemu pocziwiwy profesor niespodziewanie odwiedził swoich pacjentów w środku dnia.

Wizyta ekipy telewizyjnej dla dwóch nastolatków stanowiła dużą atrakcję w czasie szpitalnej, codziennej monotonii.

Ale Jarek zupełnie inaczej wyobrażał sobie pracę takiego zespołu. Spodziewał się jakichś przygotowań, scenariusza, ułożenia pytań i odpowiedzi.

Zamiast tego do sali wpadł bez słowa długowłosa mężczyzna z przenośnym reflektorem i po kilkunastu sekundach w drzwiach pojawiło się oko kamery, śledzące wchodzącą dziennikarkę.

To działo się tak szybko, że chłopcy nie zdążyli nawet przygotować się psychicznie na to wydarzenie.

– Cześć Jarku, jak się czujesz? – rzuciła kobieta bez zbędnych wstępów.

Jarek znał ją wyłącznie z telewizji, więc bezpośredni, przyjacielski ton, był dla niego niemałym zaskoczeniem.

Mężczyzna z niewielką kamerą, wspartą za pomocą specjalnego stelażu o ramię, przesuwiał się płynnie wzdłuż szpitalnego łóżka, na którym siedział zaskoczony chłopak. Wyglądało to tak, jakby już nagrywał.

Jarek poczuł się trochę dziwnie.

– Dobrze – wydusił, zmuszając się do sztucznego uśmiechu.

Nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

– Tak normalnie, jak każdy w pełni zdrowy człowiek? – spytała dziennikarka.

To wszystko działo się chyba za szybko, bo chłopak poczuł nagły mętlik w głowie. Niby proste pytanie, ale to całe zamieszanie z kamerą i jeszcze ten reflektor skierowany prosto w oczy...

– Czekaj Sławek – powiedział mężczyzna, który rozstawił oświetlenie.

Podszedł do lampy i skierował ją pod innym kątem na łóżko.

– Dobra – powiedziała kobieta służbowo i tą samą tonacją głosu jak przed momentem, powtórzyła: – Naprawdę nic ci już nie dolega?

Jarek wypuścił z płuc nadmiar przetrzymywanego powietrza i wrzucił ramionami, nie mając nadal pojęcia, co odpowiedzieć.

– To inaczej... – dziennikarka uśmiechnęła się wyrozumiale. – Tak na luzie pogadamy sobie, a potem dopiero coś skręcimy.

– OK – wydusił Jarek. – Nigdy nikt z kamerą mnie jeszcze nie nakręcał...

Dziennikarka zaśmiała się, więc i on wykrzywił usta w coś w rodzaju uśmiechu, zdając sobie jednak sprawę, że jego mina musi wyglądać teraz trochę głupawo, bo tak też się poczuł.

– Pamiętasz może jakieś sny, odczucia, coś w ogóle z tego okresu, jak byłeś nieprzytomny?

– Nie... Nic takiego niezwykłego się nie działo...

– A pamiętasz tego księdza Bronisława?

– Pamiętam tylko, jak dotykał mojego czoła, to był taki przebłysk...

– Poczucieś jakiś... przebłysk?

– Przebłysk świadomości...

– Właśnie w tym momencie, gdy ksiądz dotyka twojego czoła. A jakbyś opisał ten przebłysk?

Jarek zaśmiał się. Zaczynał rozumieć, do czego dąży dziennikarka. Zaraz powiedzą, że w momencie dotknięcia jego czoła przez księdza, zobaczył przed oczami fajerwerki.

Kobieta wpatrzyła się w swoje notatki, więc postanowił się chwilę zastanowić, jak inteligentniej to wytłumaczyć. Obserwując czujnie dziennikarkę, sięgnął do szafki po szklanekę soku.

– To nie było nic niezwykłego – powiedział spokojnie. – Po prostu miałem na myśli, że miał zimny olejek, którym dotknął mojego czoła. Czasem ktoś zwilżał mi usta i wtedy też... to pamiętam. To takie przebłyski świadomości... Po prostu takie rzeczy pamiętam.

Kamerzysta wysunął oko zza kamery i z lekkim zaskoczeniem spojrzął na dziennikarkę.

– Widziałaś to? – spytał.

Kobieta podniosła głowę znad notatek, spojrzała na Jarka i uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Jarku, odstaw szklanę – powiedziała. – I dobrze by było, żebyś siedział cały czas w miarę w tej samej pozycji, właśnie tak podparty jak teraz.

– To my to jednak cały czas nagrywamy? – spytał chłopak nieco zbity z tropu.

– Kręć – rzuciła kobieta kamerzyście, który wystawił palec wskazujący, jakby chciał jeszcze coś dodać.

Mężczyzna na moment skopiował niedawną minę Jarka na widok kamery, ale zaraz potem posłusznie schował się za urządzenie, a dziennikarka niedbale machnęła ręką, dając Jarkowi do zrozumienia, że nie musi sobie zawracać głowy ich dziennikarską kuchnią.

– Czyli, że samo to dotknięcie twojego czoła przez księdza, nie powodowało jakichś niezwykłych doznań?

– Nie.

– A powiedz mi, jak wyglądał sam moment twojego przebudzenia?

– Zsunął mi się z palca ten czujnik od... takiego monitora i to wszystko zaczęło pisać... wtedy się obudziłem.

– Sam się ten czujnik zsunął?

– Chyba tak.

– I tak po prostu się obudziłeś.

– Tak.

– Czując się już jak zdrowy człowiek?

– W zasadzie tak... To było takie... rozespanie... Nie wiem, jak to określić... Tak, jak się rano wstaje...

– Jakbyś twardo przespał całą noc – zgadywała dziennikarka.

– Tak, to można by porównać... właśnie do czegoś takiego.

– A... jakie masz plany na przyszłość?

Chłopak uśmiechnął się z zakłopotaniem. Nie spodziewał się takiego pytania. Chodził do liceum ogólnokształcącego, chyba właśnie dlatego, że jeszcze sam sobie nie za bardzo potrafił udzielić odpowiedzi na takie pytanie.

– Nie wiem... Może... zostanę lekarzem... – wypalił nieoczekiwanie nawet dla samego siebie.

Zaśmiał się w duchu. Z możliwościami finansowymi matki, długie i kosztowne studia medyczne, były po prostu niemożliwe bez pomocy ojca, który zostawił ich jeszcze przed jego urodzeniem.

– Chcesz dla odmiany stanąć po tej drugiej stronie? – zażartowała dziennikarka z uśmiechem. – To cóż... tego ci właśnie wszyscy życzymy.

Chłopak również się uśmiechnął, kiwając nieśmiało głową w podziękę za życzenia.

Miał świadomość, że będzie musiał szybko wyjaśnić mamie, że żartował, zanim jeszcze to puszcza, żeby się nie przestraszyła, jak usłyszy, że jej syn idzie na studia medyczne przy jej pensji sprzątaczkii.

Mieszkali z mamą w Lubaniu, niewielkiej miejscowości położonej mniej więcej w połowie drogi między Jelenią Górą a Zgorzelcem. Było to niegdyś tętniące życiem miasto z przemysłem bawełnianym, wielkim zakładem naprawy taboru kolejowego oraz w bezpośredniej bliskości potężnych kopalni bazaltu, które dawało wiele miejsc pracy i przyciągało bardzo wielu ludzi, bez wahania osiedlających się tam na stałe.

Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku przemysł włókienniczy jednak upadł, a państwowe koleje zrezygnowały z zakładu naprawy taboru kolejowego i z potężnego centrum pracy Lubań stał się kolejnym „przemysłowym miastem” bez przemysłu, gdzie głównym problemem stało się zatrudnienie tej wielkiej ilości pozwalnianych pracowników i stworzenie im podstawowych warunków do życia.

Niemiecka granica była zaledwie dwadzieścia kilometrów dalej. To często ratowało sytuację. Co bardziej obrotni mieszkańcy zajmowali się sprowadzaniem z Niemiec zużytego sprzętu gospodarczego i mebli, które znajdowały jeszcze wielu zadowolonych nabywców po polskiej stronie.

Inni po prostu oferowali Niemcom swoje usługi, zajmując się budowlanką lub innymi prostymi pracami. Wśród starszych kobiet, pozwalnianych z przędzalni, pojawiła się moda na zatrudnianie się do opieki nad ludźmi w podeszłym wieku u niemieckiego sąsiada. Za tydzień takiej opieki w miejscu zamieszkania staruszka, jego rodzina płaciła równowartość przeciętnej polskiej miesięcznej pensji, więc kobiety dobierały się w pary i na zmianę jeździły do takich rodzin, by zarobić jakoś na swoje utrzymanie.

Matka Jarka cieszyła się, bo była w dużo lepszej sytuacji niż większość z tych ludzi. Miała w Lubaniu pracę, o której nie obawiała się powiedzieć, że jest zatrudnieniem stałym.

– Nie ma w dzisiejszych czasach stałej pracy! – śmiał się wujek, pukając się wymownie palcem w czoło, jak o tym rozmawiali.

Ale mama wiedziała swoje. Pracowała w szkole, więc swojej pracy była tak pewna, jak niegdyś jej matka była pewna swojej w przędzalni.

„Studia” – pomyślał Jarek z przekąsem, spoglądając na fotografię śmietnika.

Poza wizytą ekipy filmowej w ich sali, aż do wieczora nie działo się już nic niezwykłego. Było to po prostu kolejne, monotonne, szpitalne popołudnie, w oczekiwaniu na upragniony wypis.

Mama niechęć stała się świadkiem rozmowy profesora z dyrektorem szpitala, z której wynikało, że dalszy pobyt Jarka na oddziale staje się dla dyrekcji niewygodny ze względu na szum medialny wokół sprawy.

A było to jeszcze przed wizytą ekipy telewizyjnej, która z całą pewnością pogłębiła jeszcze niechęć dyrektora.

Gdy zbliżał się wieczór, Grzesiek ruszył na świetlicę, by zająć najlepsze miejsce przed telewizorem. Obiecał, że i dla niego zajmie, bez względu na to, czy Jarek będzie miał ochotę na film z blondasem, czy nie.

– Zajmij – zgodził się od niechcenia Jarek, będąc całkowicie przekonany, że nie ma zamiaru oglądać filmu.

Ta subtelna energia, o której słyszał w swych dziwacznych wizjach w czasie choroby, była nadal wyraźnie wyczuwalna. Był pewien, że to właśnie ona pozwala mu całymi godzinami leżeć beczynnym bez uczucia znudzenia.

Wiedział, że nie jest to normalne. Leżeć i delektować się powietrzem spokojnie wciągany do płuc... Czuć jakąś niewytłumaczalną radość, bez odczuwania potrzeby zastanawiania się chociażby nad przyczynami takiego nastawienia...

Uśmiechnął się sam do siebie i beztrąsko wzruszył ramionami. Było mu wygodnie bez zadawania pytań, na które i tak sam nie był w stanie wymyślić odpowiedzi.

W pewnym momencie coś jednak przerwało tą sielankę. Grzegorz wpadł do sali z wypiekami na twarzy, prawie krzycząc w jego stronę:

– Chodź na świetlicę!

– Co się dzieje? – spytał zaskoczony.

– Pokazują cię! – wrzasną Grzesiek i zniknął z powrotem w szpitalnym korytarzu.

Jarek najszybciej, jak potrafił, sunął nieco przydużymi kapciami po parkiecie. Dopadł drzwi. Świetlica sąsiadowała z ich pokojem, więc wystarczyło się na dobrą sprawę wychylić, by widzieć telewizor.

– A ja nadal nie mam zielonego pojęcia – usłyszał wesoly głos prezentera – czy nasi redakcyjni koledzy chcą nas wkręcić, czy to ciąg dalszy anomalii na oddziale onkologicznym wrocławskiej placówki.

Na pierwszym planie widać było Jarka opartego o szpitalne łóżko oraz zbliżenie szklanki soku, która powoli... płynie w powietrzu, by po chwili delikatnie wsunąć się w jego rękę.

– To tak pół żartem, pół serio – dodał nieco ironicznie dziennikarz prowadzący wiadomości. – Zmieniamy temat: Nowy system operacyjny Windows 2000 nadal poza zasięgiem...

– Trochę ciągną – stwierdził Grzegorz z szyderym uśmiechem. – Dobrze, że ci aureoli nie domalowali, byłoby jeszcze dowcipniej.

Jarek spojrział na Grzeška zdumiony.

– Co ta idiotka pomontowała? – wybuchnął.

– Oni już wczoraj w wiadomościach ciągnęli. Śmiali się, że „cud we Wrocławiu” – wyjaśnił Grzesiek.

Był wyraźnie rozbawiony. Jarek za to aż poczerwieniał ze złości.

– To ten długowłosey od świateł. Stał tam przy ścianie...

– Kombinuj, jak chcesz, ale takich dowcipów jeszcze w naszej telewizji nie puszczali – wtrącił Grzegorz. – Jeszcze trochę a dewotki będą się do ciebie modlić.

Jarek z ubolewaniem pokręcił głową. Powoli opuszczała go ta obojętność na wszystko. Nie dziwił się, że nikt nie rozumie tego, co się stało na oddziale. Czy był to jednak powód, by robić sobie z tego jaja publicznie?

Rozdział 3 – Jaki był twój plan?

Chłopak zakładał spodnie. Były strasznie pogniecione. Pamiętał swój strach, jak dwa miesiące temu chował je do reklamówki, nie będąc pewnym, czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł je założyć.

Niebieska bluza z kapturem prezentowała się jeszcze mniej okazale. Całe ubranie, odebrane rano z szpitalnej szatni, wyglądało, jakby je ktoś wyprał i trzymał zwinięte w pralce, dopóki samo nie wyschnie.

Po raz ostatni usiadł na swoim szpitalnym łóżku. Czuł na sobie wzrok Grześka, który niby się cieszył, ale jego pogodny nastrój wyraźnie nie był tak spontaniczny i naturalny jak do tej pory.

Stare, znoszone adidas były w środku wyschnięte i nieprzyjemnie szorstkie. Z trudem włożył je na nogi.

– Tobie to dobrze – odezwał się w końcu Grzesiek.

Jarek odwrócił się w stronę kolegi.

– Nie pękaj Mały!

Grzesiek westchnął ciężko.

– Trochę się boję, że... – powiedział cicho – ...no wiesz...

Jarek wstał z łóżka, podszedł do kolegi i po przyjacielsku klepnął go w ramię.

– Nie myśl za dużo. To najbardziej szkodzi zdrowiu!

– Nie poddawać się! Tak, jak ty – ożywił się Grzesiek.

Jarek wyciągnął rękę na pożegnanie. Ścisnął jego dłoń tak mocno, żeby aż go zaboląło. Grzesiek zacisnął zęby i kiwnął głową na znak, że rozumie.

– Trzymaj się! – powiedział Jarek, po czym chwycił plecak i szybko wyszedł z pokoju.

Odchrząknął i po raz ostatni spojrzął na szpitalne plansze poglądowe, zawieszane w równych, kilkumetrowych odstępach na białych ścianach szpitalnego korytarza. Przez długi czas ich oglądanie stanowiło dla nich jedyną rozrywkę w czasie tej szpitalnej monotonii.

Mama czekała z wypisem na dole przy recepcji, więc trzeba było pokonać dwa piętra, żeby do niej dołączyć.

Po wyjściu z oddziału ruszył w stronę schodów, lecz na piętrze była akurat winda. Młoda, wysoka kobieta, o prostych blond włosach, spojrzała na niego pytająco i wskazała wymownie palcem w dół.

Chłopak kiwnął głową, więc poczekała, aż i on wsiądzie.

Od urodzenia mieszkał z mamą w czteropiętrowym budynku, gdzie nie było takich urządzeń, więc jazda windą stanowiła dla niego pewien rodzaj atrakcji, do której nawet głupio się przed kimś przyznawać. Udawał, że nie robi to na nim wrażenia, lecz w głębi ducha z niecierpliwością czekał, aż winda ruszy.

– Jak tam? – zagadnęła kobieta.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. „Co można odpowiedzieć na takie pytanie?” – pomyślał ironicznie.

Winda ruszyła.

– Kontaktował się już ktoś z tobą po tych twoich szpitalnych wyczynach... Jarku – usłyszał rzeczowy kobiecy głos.

Spojrzał ze zdziwieniem na swoją współpasażerkę.

– Że... co? – wydusił.

– Że... jak ktoś będzie próbował – powiedziała nieznajoma pospiesznie – mów, że jesteś od sędziego Kluczyńskiego.

– O co pani chodzi? – wydusił, spoglądając na kobietę podejrzliwie.

Winda właśnie się zatrzymywała na parterze.

– Tu może chodzić o twoje życie – dodała kobieta i wetknęła mu w rękę jakiś niewielki przedmiot. – Schowaj to. Skontaktuję się z tobą już na miejscu, u ciebie.

Drzwi windy rozsuwały się na boki. Kobieta bez zastanowienia ruszyła, nie czekając na jego reakcję.

Zdumiony, zerknął w dół. W rękę miał niewielki, składany telefon komórkowy. Poczuł lekką irytację i nawet chwilowo zastanawiał się, czy po prostu nie rzucić tym telefonem w plecy oddalającej się kobiety.

Miała na oko jakieś dwadzieścia dwa, trzy lata, była wysoka, dosyć zgrabna, o regularnych rysach twarzy, ale wszystko wskazywało na to, że w jej głowie odbywała się jakaś nierzeczywista tajna misja, nad którą medycy nie potrafili jeszcze zapanować.

Wzruszył beztrosko ramionami i wsunął urządzenie do kieszeni spodni. Telefon przecież nie zginie. Nie pilnują wariatów, to niech jeżdżą po urządzenie po sto pięćdziesiąt kilometrów.

Nie miał ochoty się nad tym teraz za długo zastanawiać w momencie, gdy wychodzi ze szpitala i za chwilę znowu poczuje wiatr na twarzy. Czyli coś, z czym pożegnał się podświadomie już przed dwoma miesiącami.

Mama czekała przy wyjściu. Natychmiast, kiedy go zobaczyła, załamała rękę.

– Coś ty z psem się szarpał w tej szatni, czy piguły cię tak wyściskały? – spytała, patrząc z przerażeniem na jego ubranie.

– Ten burek z fotografii – zawołał Jarek i z wielką rozkoszą pchnął drzwi wyjściowe, by w końcu znaleźć się po drugiej stronie szpitalnych murów.

Lubań był oddalony około stu pięćdziesięciu kilometrów od Wrocławia, co dla starego, wujkowego poloneza było ekstremalną odległością. Pojazd, który mniej więcej równo z Jarkiem miał osiągnąć pełnoletniość, toczył się powoli i niepewnie po autostradzie, co chwilę szarpany zawirowaniami pędzącego wiatru uderzającymi o jego kanciastą karoserie.

– Lecą na złamanie karku! – pomstował wujek, trzymając kurczowo kierownicę.

– Widocznie wiedzą, że na autostradzie wolno przekroczyć czterdziestkę – huknęła zde gustowana ciotka.

Silnik warczał głośno, co jakiś czas dusząc się, jakby chciał zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Wolniej jedziesz, dalej zajedziesz – wyrecytował wujek.

– Patrzcie jaki to światowiec, obeznany w przysłowia ludowe – kpiła ciotka. – A inny kierowca to przynajmniej pogada z człowiekiem, spojrzy na niego od czasu do czasu, a ten gały w asfalt i go nie ma.

Wujek zbulwersował się i pokazał wymownie licznik. Nic nie powiedział, bo wymijała ich akurat kawalkada Tirów, więc jako odpowiedzialny kierowca starał się zachować maksimum skupienia.

„Tych dwoje nigdy się nie zmienia” – pomyślał Jarek.

Ciotka, siostra mamy, wraz z wujkiem, mieszkała w tym samym bloku co i oni, tylko klatkę schodową dalej. Byli bardzo bliską rodziną i większość czasu spędzali razem. Czasem, gdy wieczorem wujostwo nie przychodziło do nich z wizytą, wyraźnie czegoś w domu brakowało. Ich obecność była zdecydowanie bardziej naturalna niż jej brak.

Ciotka była wysoką i szczupłą dystygowaną damą z fryzurą w stylu lat siedemdziesiątych. Zawsze aż do przesady dbała o swój wygląd, a jej zachowanie wskazywało na lekką obsesję na punkcie własnego wizerunku.

W towarzystwie zawsze siedziała nienaturalnie sztywno, skanując otoczenie szybkimi spojrzeniami, chcąc być na bieżąco z sytuacją i natychmiast wiedzieć kto i od jakiego profilu jej się przygląda.

Jarek śmiał się w duchu, że ciotka nawet jak śpi, próbuje robić to z gracją tak, żeby wyglądało to ze wszystkich stron należycie.

Wujek z kolei był niski i przeraźliwie chudy. Jego rzadkie i proste włosy wykazywały tendencję do układania się w zwarte fragmenty fryzury i odstawiania całych połaci tysej głowy, co wyglądało dość zabawnie, jakby ktoś chciał przykryć zbyt dużą powierzchnię za pomocą za małej plandeki.

Wujkowi można było włączyć telewizor i niczego mu więcej do szczęścia nie było trzeba. Mężczyzna bardzo emocjonalnie przeżywał wszystko to, co pojawiało się na ekranie. Na porządku dziennym były jego głośne okrzyki dopingujące sportowców czy

podpowiedzi udzielane detektywom i policjantom rozwiązującym w filmach jakieś sprawy kryminalne. Jeśli główny bohater filmu czegoś, co dla wujka było oczywiste, nie wiedział, zawsze mógł liczyć na jego pomoc.

– Dzisiaj Polska gra! – ożywił się wujek, odwracając zniecierpliwioną głowę w stronę Jarka.

Ciotka aż zachłysnęła się własną śliną.

– Na ulice patrz, cabanie ty jeden! – krzyknęła rozpaczliwie.